

Młodość

Joseph Conrad



Dom Książki Polskiej Spółka Akcyjna, Warszawa, 1930

Pobrano z Wikizródeł dnia 02/18/18

MŁODOŚĆ: OPOWIADANIE

Mogło to się wydarzyć tylko w Anglii, gdzie ludzie i morze niejako się wzajemnie przenikają: morze wchodzi w życie większości ludzi, a ludzie wiedzą o morzu coś niecoś lub też wszystko, czy to jako o rozrywce, czy terenie podróży, czy wreszcie warsztacie pracy.

Siedzieliśmy wokoło mahoniowego stołu, wsparci na łokciach; gładki blat odbijał butelkę, kieliszki z czerwonym winem i nasze twarze. Był tam dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik, Marlow i ja. Dyrektor przeszedł ongi szkołę na *Conway*, buchalter służył przez cztery lata na morzu, prawnik — wspaniały okaz omszałego torysa, anglikanin, najmilszy towarzysz, wcielenie honoru — pełnił służbę pierwszego oficera na linii Śródziemnomorsko-Wschodniej w dobrych, dawnych czasach, gdy pocztowe statki miały żagle na rejach przynajmniej u dwóch masztów i wjeżdżały na morze Chińskie — pod krzepkim mussonem — z dodatkowymi bocznymi żaglami rozpiętymi w dole i w górze. Każdy z nas rozpoczął życie w marynarce handlowej. Jednoczyła nas wszystkich pięciu silna więź morza, a także i koleżeństwo w rzemiośle, którego nie może zastąpić choćby i największe zamiłowanie do jachtowania, żeglowania i tym podobnych sportów, ponieważ są to tylko przyjemności życia, gdy tamto jest samem życiem.

Marlow (mam wrażenie że tak się pisze jego nazwisko) opowiedział nam historję a raczej kronikę pewnej podróży:

— Tak, widziałem coś nie coś ze wschodnich mór; ale

najlepiej pamiętam pierwszą podróż w tamte strony. Wy wiecie, koledzy, że zdarzają się podróże, które są jakby umyślnie zamówione dla zobrazowania życia — które mogą służyć za symbol istnienia. Człowiek walczy, pracuje, oblewa się potem, zamęcza się prawie na śmierć, czasem istotnie daje życie ażeby czegoś dokonać — i ani rusz mu nie idzie. Nie z jego winy, poprostu nie może nic zrobić — ani wielkiego, ani małego — nic a nic — nie może się nawet ożenić ze starą panną lub dobić z nędznym sześćsettonnowym ładunkiem węgla do wyznaczonego portu.

— Ta historia zasługiwała aby ją zapamiętać. Była to pierwsza moja podróż na wschód, i to pierwsza podróż jako drugiego oficera: było to także pierwsze dowództwo mojego szypra. Przyznacie mi że czas już naglił. Przynajmniej sześćdziesiąt lat miał ten mały, przygarbiony człowieczek o szerokich, niezupełnie prostych plecach i jednej nodze bardziej kabłąkowatej niż druga, o dziwacznej, koślawej postaci, jaką widuje się często u ludzi pracujących w polu. Nos jego usiłował zetknąć się z brodą nad zapadniętymi ustami, a twarz przypominała dziadka od orzechów; okalał ją siwy jak stal, puszysty zarost, podobny do podpinkii od hełmu zrobionej z waty i posypanej sadzami. A w tej starej twarzy tkwiły błękitne oczy, dziwnie podobne do oczu chłopięcych o niewinnym wyrazie, który czasem zupełnie przeciętni ludzie zachowują do końca życia, dzięki rzadkiemu darowi prostoty serca i prawości ducha. Zachodziłem w głowę co go skłoniło do przyjęcia mnie na statek. Rozstałem się właśnie z szykownym kliprem australijskim gdzie byłem trzecim oficerem, a mój nowy szyper zdawał się mieć uprzedzenie do szykownych kliprów, jako arystokratycznych i zadzierających nosa. Powiedział mi:

„Proszę pana, na tym statku będzie pan musiał pracować“. Odrzekłem, że musiałem pracować na wszystkich statkach — gdzie tylko służyłem. „O, to jest zupełnie co innego — wy, paniczycy z tych wielkich okrętów... ale co tam! Sądzę, że pan się tu nada. Proszę stawić się jutro“.

Stawiłem się nazajutrz. Działo się to przed dwudziestu dwu laty; i miałem okrągłe lat dwadzieścia. Jak ten czas leci! Był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Pomyślcie tylko! Zostałem po raz pierwszy drugim oficerem — oficerem prawdziwie odpowiedzialnym! Nie byłbym oddał swego nowego stanowiska za żadne skarby świata. Pierwszy oficer obejrzał mnie starannie. Był to także jegomość stary, ale innego pokroju. Miał rzymski nos, śnieżnobiałą, długą brodę, a nazwisko jego brzmiało Mahon, lecz kładł nacisk na to aby wymawiać je Mann. Był z dobrej rodziny, tylko szczęście mu jakoś nie dopisało i kariery nie zrobił.

Co się tyczy kapitana, żeglował całe lata na statkach nadbrzeżnych, potem po morzu Śródziemnym, a wreszcie dostał się do wschodnio-indyjskiego handlu. Nie objechał nigdy przylądków^[1]. Charakter pisma miał niepewny, koślawy, i bynajmniej pisać nie lubił. Obaj byli oczywiście żeglarzami co się zowie, a ja czułem się między tymi starymi ludźmi jak mały chłopczyk między dwoma dziadkami.

— Okręt był także stary. Nazywał się *Judea*. Dziwaczna nazwa, prawda? Właściciel jego — nazwiskiem Wilmer, Wilcox, czy coś w tym rodzaju, zbankrutował i umarł przed jakimiś dwudziestu laty — mniejsza o to jak się nazywał. *Judea* stała w basenie w Shadwell przez całe wieki. Możecie sobie wyobrazić w jakim była stanie. Cała w kurzu, rdzy,

plugastwie, — u góry sadza, brud na pokładzie. Wydało mi się że opuszczam pałac dla zrujnowanego dworku. Miała około 400 tonn pojemności, prymitywną windę kotwiczną, drewniane klamki u drzwi i wielką kwadratową rufę; nigdzie nie było na niej ani źdźbła mosiądzu. U rufy widniała nazwa okrętu wypisana wielkimi literami, a pod nią ozdoby z drzewa o startej pozłocie — wycinane laubzegą — z czemś w rodzaju tarczy herbowej i wypisanem poniżej mottem: „Czyń lub giń“. Pamiętam że podziałało mi to niezmiernie na wyobraźnię. Był w tem jakiś powiew romantyzmu, coś co sprawiło że pokochałem ten stary grat — coś co przemówiło do mojej młodości!

Opuściliśmy Londyn z piaskiem jako balastem, udając się do jednego z północnych portów po węgiel dla Bangkoku. Bangkok! Zadrżałem z radości. Spędziłem był na morzu już sześć lat, lecz widziałem tylko Melbourne i Sydney — bardzo porządne miasta, zachwycające miasta w swoim rodzaju — ale Bangkok!

Wyszliśmy z Tamizy pod żaglami, mając na pokładzie pilota z morza Północnego. Nazywał się Jermyn i plątał się cały dzień po kambuzie, susząc przy piecu swoją chustkę do nosa. Widocznie nigdy nie sypiał. Ten ponury człowiek, z wieczną kapką świecą u nosa, albo uporał się dopiero co z jakimś kłopotem, albo był w kłopotcie, albo spodziewał się że wpadnie w kłopot — i czuł się dobrze jedynie gdy coś szło nie tak jak trzeba. Nie dowierzał mojej młodości, mojemu rozsądkowi, mojej żeglarskiej wiedzy, i postawił sobie za zadanie aby mi to okazywać w najprzeróżniejszy sposób. Zdaje mi się że miał słuszność. Sądzę że umiałem wówczas bardzo mało, a i teraz umiem niewiele więcej; ale żywię nienawiść

względem tego Jermyna aż do dnia dzisiejszego.

Po tygodniowej żegludze dotarliśmy do Yarmouth Roads, a potem dostaliśmy się w burzę — słynną październikową burzę z przed dwudziestu dwóch lat. Wicher, błyskawice, deszcz ze śniegiem, śnieżyca, i straszliwe morze. Lecieliśmy niby na skrzydłach; zrozumiecie jak źle było z nami, kiedy wam powiem że mieliśmy strzaskane nadburcie i zalany pokład. W ciągu drugiej nocy balast przesunął się na stronę podwietrzną a jednocześnie zapędziło nas gdzieś w okolice Dogger Bank. Nie było innej rady, tylko zejść na dół z szuflami i starać się doprowadzić statek do porządku — i oto staliśmy w tej przestronnej ładowni, ponurej jak jaskinia; łożowe świece migotały przytwierdzone do belek, burza wyła w górze, okręt rzucał się na boku jak szalony; byliśmy tam wszyscy co do jednego, Jermyn, kapitan, pochłonięci tą pracą grabarzy, i ledwie się mogliśmy utrzymać na nogach, usiłując rzucać szufle mokrego piasku ku stronie nawietrznej. Przy każdym zatoczeniu się statku widać było niewyraźnie w mętnej świetle jak ludzie się przewracają, zakreślając wielkie łuki szuflami. Jeden z naszych chłopców okrętowych (było ich dwóch) płakał rozdzierająco pod wrażeniem tej niesamowitej sceny. Słyszeliśmy jak szlochał gdzieś w ciemnościach.

— Trzeciego dnia burza ucichła i jakiś północny holownik zabrał nas wkrótce. Tylko szesnaście dni zużyliśmy na przejazd z Londynu do Tyne! Kiedyśmy weszli do doku, okazało się że straciliśmy naszą kolejkę do ładowania i wycofano nas do dalszego rzędu, gdzie pozostaliśmy przez miesiąc. Pani Beard (kapitan nazywał się Beard) przyjechała z Colchester aby się zobaczyć ze starym. Mieszkała na statku. Załoga opuściła okręt; pozostali tylko oficerowie, jeden z chłopców okrętowych

i steward, mulat, którego wołano Abraham. Pani Beard była też stara, miała twarz pomarszczoną i rumianą jak zimowe jabłko, a figurę młodej panny. Zobaczyła raz że przyszywam sobie guzik i wymogła na mnie abym jej dał koszule do naprawy. To było coś zupełnie różnego od zachowania żon kapitanów, które znałem na szykownych kliprach. Gdy jej przyniosłem koszule, zapytała: „A skarpetki? Jestem pewna że potrzebują naprawy; rzeczy Jana — to jest kapitana Bearda — są już wszystkie w porządku. Miło mi będzie mieć coś do roboty“. Kochana staruszka. Przepatrzyła wszystkie moje rzeczy, a ja tymczasem czytałem po raz pierwszy *Sartora Resartusa* i Burnaby’ego *Wyprawę na Chiwę*. Niewiele wówczas zrozumiałem z pierwszej książki; pamiętam jednak że przekładałem żołnierza nad filozofa — a życie mię jeszcze w tem utwierdziło. Jeden był człowiekiem, drugi zaś może czemś więcej — a może i mniej? Tak czy owak, obydwaj już nie żyją, i pani Beard nie żyje, i młodość, siła, genjusz, myśli, czyny, proste serca — wszystko umiera... Mniejsza o to.

Przyjęliśmy wreszcie ładunek. Zaciągnęliśmy załogę. Ośmiu wykwalifikowanych marynarzy i dwóch chłopców. Odholowano nas pewnego wieczoru do boju wrót doku; byliśmy gotowi do odjazdu i spodziewaliśmy się doprawdy, że nazajutrz puścimy się w drogę. Pani Beard zamierzała wrócić do domu pociągiem odchodzącym późno w noc. Gdy statek został zacumowany, udaliśmy się na herbatę. Siedzieliśmy dość milcząco u stołu — Mahon, starzy małżonkowie i ja. Wypiłem herbatę pierwszy i wymknąłem się na papierosa do swojej kajuty w domku na pokładzie, tuż przy rufie. Był przyływ, chłodny wiatr zaciął kapuśniaczką; podwójne wrota doku stały otworem, a parowce węglowe wjeżdżały i

wyjeżdżały w ciemności z palącemi się jasno światłami, wśród głośnego chłupotu śrub, zgrzytu bloków i nawoływań rozlegających się u cyplów molo. Przypatrywałem się procesji świateł dziobowych sunących wysoko, i zielonych świateł sunących nisko w mroku, gdy nagle czerwony błysk zajrzał mi w oczy, znikł, ukazał się znów i pozostał. Dziób parowca zamajaczył blisko. Krzyknąłem wdół do kabiny: „Chodźcie tu prędko“! i usłyszałem przestraszony głos daleko w ciemnościach: „Zatrzymać maszyny, panie kapitanie“! Zabrział dzwon. Inny głos krzyknął ostrzegawczo: „Wjeżdżamy wprost na tę barcę, panie kapitanie“! Odpowiedzią na to było szorstkie: „Aha“ — i zaraz potem rozległ się potężny trzask: parowiec ugodził naukos zaokrąglonym dziobem w takielunek przedniego masztu. Nastąpiła chwila zamieszania, wrzasków i bieganiny. Para huczała. Usłyszałem czyjeś słowa: „Już dobrze, panie kapitanie“. „Czy u was wszystko w porządku?“ zapytał szorstki głos. Skoczyłem na dół aby obejrzeć szkodę i odkrzyknąłem: „Zdaje się że tak“. „Powoli w tył“ — rzekł szorstki głos. Rozległ się dzwon. „Co to za parowiec?“ krzyknął Mahon. W owej chwili statek był dla nas już tylko masywnym cieniem manewrującym opodal. Odkrzyknęli nam jakąś nazwę — Miranda, czy Melissa, czy coś w tym rodzaju. „Z tego wszystkiego posiedzimy jeszcze miesiąc w tej przeklętej dziurze“, rzekł do mnie Mahon, gdyśmy rozpatrywali przy świetle latarni strzaskane nadburcie i poszarpane brasy. „Ale gdzie kapitan“ ?

— Nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy go wcale przez cały ten czas. Poszliśmy go szukać na rufę. Żalony głos zaczął nas okrzykiwać skądś ze środka doku: „Hej, na *Judei*“!... Jak on się

u diabła tam dostał?... „Hej, hej!“ odkrzyknęliśmy. „Zniosło mnie w naszej łódce, jestem bez wiosła!“ krzyknął. Jakiś zapóźniony cumownik ofiarował się z pomocą, Mahon dobił z nim targu: za pół korony miał być nasz szyper przyholowany do statku; tymczasem nie kapitan ale pani Beard ukazała się pierwsza u trapu. Pływali oboje po doku w tym mżącym kapuśniaczkę przez blisko godzinę. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. — Okazało się że gdy kapitan usłyszał mój krzyk: „Chodźcie tu!“ zrozumiał w lot co się dzieje, porwał żonę, wypadł na pokład, przebiegł go i dostał się do łodzi, która była przymocowana u trapu. To nieźle jak na sześćdziesięcioletniego człowieka. Wyobraźcie sobie staruszkę unoszącą po bohatersku w ramionach tę starą kobietę — kobietę swego życia. Usadawił ją w łodzi na ławce i już miał się wdrapać zpowrotem na pokład, gdy lina się jakoś odczepiła i zaczęli oboje odpływać. W tym zamieszaniu nie słyszeliśmy naturalnie jego nawoływań. Wyglądał na zawstydzonego. Pani Beard rzekła wesoło: „Przypuszczam że teraz już wszystko jedno, czy się spóźnię na pociąg?“ „Tak, Jenny — idź na dół i rozgrzej się“ — mruknął. Potem zwrócił się do nas: „Żona, to żaden interes dla marynarza. Byłem tam — poza okrętem. No, tym razem nic się złego nie stało. Chodźmy i popatrzmy co nam ten głupi parowiec potrzaskał“.

— Szkody były niewielkie, ale opóźniło nas to o trzy tygodnie. Pod koniec tego czasu kapitan był zajęty ze swymi agentami, więc zaniósłem podróżną torbę pani Beard na stację i umieściłem staruszkę wygodnie w przedziale trzeciej klasy. Spuściwszy okno, rzekła do mnie: „Pan jest zacnym młodzieńcem. Jeśli pan kiedy zobaczy że Jan — to jest kapitan Beard — wychodzi w nocy bez szalika na pokład, niechże mu

pan w mojem imieniu przypomni, żeby dobrze ochraniał szyję“. „Dobrze, proszę pani“ — odpowiedziałem. „Pan jest zacnym młodzieńcem, zauważyłam jak pan się opiekuje Janem — to jest kapitanem — —“ Pociąg nagle ruszył; zdjąłem czapkę; nie zobaczyłem staruszki już nigdy... Dajcie butelkę.

— Wyszliśmy z portu nazajutrz. W chwili naszego wyjazdu mijaly już trzy miesiące od czasu gdy opuściliśmy Londyn. A spodziewaliśmy się że to będzie trwało najwyżej dwa tygodnie.

— Był styczeń i cudowna pogoda — taka piękna, słoneczna, zimowa pogoda, która ma więcej uroku niż letnia, ponieważ jest niespodziana, i rzeźka, i wiemy że nie będzie, że nie może trwać długo. Jest jak pomyślny traf, jak dar zesłany z nieba, jak nieoczekiwane szczęście.

— Było wciąż pogodnie przez cały czas gdyśmy płynęli przez morze Północne, potem przez kanał Angielski, i trwało to dopóki nie odsadziliśmy się z trzysta mil na zachód od przylądka Lizards; wtedy wiatr obrócił się na południo-zachód i zaczął gwizdać. We dwa dni nawiał nam burzę. *Judea* dryfowała, tarzając się po Atlantyku jak stare pudło od świec. Wiatr dał dzień po dniu; dał ze złością, bez przerwy, bez miłosierdzia, bez odpoczynku. Świat był ogromem spienionych fal, rzucających się na nas pod niebem tak niskim, że prawie było można dotknąć go ręką — a brudnem jak zadymiony sufit. W burzliwej przestrzeni, która nas otaczała, unosiło się tyleż lotnych bryzgów co i powietrza. Dzień w dzień i noc po nocy nie było wkoło okrętu nic poza wyciem wichru, zgiełkiem morza, łoskotem wody przelewającej się przez pokład. Żadnego wytchnienia dla statku i żadnego wytchnienia dla nas. Ciskał się, miotał, stawał na głowie, siadał na ogonie, przewalał się i stękał, a my musieliśmy przetrwać to wszystko

na pokładzie, albo też w dole trzymać się koj w nieustannym wysiłku ciała i udręce duszy.

— Pewnej nocy Mahon odezwał się do mnie przez okienko kajuty. Otworzyło się tuż nad łóżkiem, na którym leżałem w butach, czuwając; miałem wrażenie iż nie zmrużyłem oka już od lat i że niepodobna byłoby mi zasnąć. Rzekł w podnieceniu:

— „Marlow, nie ma tu pan prętu do mierzenia wody? Pompy ani rusz nie chcą ssać. Wielki Boże, to nie są żarty!”

— Dałem mu pręt i położyłem się znowu, usiłując myśleć o przeróżnych rzeczach — ale myślałem tylko o pompach. Kiedy wyszedłem na pokład, ciągle jeszcze pracowano u pomp i moja wachta zastąpiła poprzednią. W świetle latarni, którą przyniesiono na pokład aby obejrzyć pręt, mignęły mi zmęczone, poważne twarze majtków. Pompowaliśmy przez całe te cztery godziny. Pompowaliśmy całą noc, cały dzień, cały tydzień — wachta po wachcie. Okręt się rozlatywał i przeciekał szpetnie — nie dosyć aby nas odrazu zatopić, ale dość by nas zabić pracą przy pompach. A w ciągu naszego pompowania statek opuszczał nas po kawałku; poszło nadburcie, stojaki poręczy zostały wyrwane, wietrzniki zdruzgotane, drzwi od kabiny wgniecione. Nie było nigdzie suchego miejsca. Odbywało się zwolna patroszenie okrętu. Szalupa — jakby pod wpływem czarów — rozpadła się w drzazgi, stojąc w miejscu na legarach. Sam ją przymocowałem i pyszniłem się poniekąd swem dziełem, które opierało się tak długo złościwości morza. Pompowaliśmy w dalszym ciągu. Niepogoda nie ustawała ani na chwilę. Morze było białe jak olbrzymi płat piany, jak kocioł gotującego się mleka; nie dostrzegało się żadnej luki w chmurach — choćby na szerokość dłoni — choćby na przeciąg dziesięciu sekund. Nie istniało dla

nas niebo, nie istniały dla nas gwiazdy, ani słońce, ani wszechświat — nic poza gniewnymi chmurami i rozwścieczonym morzem. Pompowaliśmy wachta za wachtą, pompowaliśmy walcząc o życie; i zdawało się że to trwa już miesiące, lata, całą wieczność, jakbyśmy byli umarli i znaleźli się w piekle dla żeglarzy. Zapomnieliśmy jaki to dzień w tygodniu, miesiąc, rok, — zapomnieliśmy że byliśmy kiedykolwiek na lądzie. Żagle zostały zerwane, statek leżał na boku pod płócienną zasłoną od wiatru, ocean przelewał się przez niego, a nam to było obojętne. Kręciliśmy temi korbami i mieliśmy oczy idjotów. Z chwilą gdy się wyczołgiwaliśmy na pokład, opasywałem liną ludzi, pompy i maszt główny, poczem kręciliśmy, kręciliśmy bezustanku, a woda sięgała nam po pas, po szyję, wyżej głowy. Nic to nie pomagało. Zapomnieliśmy jakie to uczucie kiedy się jest suchym.

— A we mnie tkwiła gdzieś myśl: No, no! To ci dopiero morowa awantura — jak w jakiej książce — a ja jadę po raz pierwszy jako drugi oficer — i mam dopiero dwadzieścia lat — i oto wytrzymuję wszystko równie dobrze jak każdy z tych ludzi — i podnoszę moich chłopców na duchu. Cieszyłem się. Nie byłbym się wyrzekł swych przeżyć za nic w świecie. Miałem chwile radosnego uniesienia. Gdy stary, ogołocoony statek przechylał się ociężale, wznosząc konchę rufy wysoko w powietrze, zdawało mi się że rzuca ku bezlitosnym chmurom — jak apel, jak wyzwanie, jak okrzyk — słowa wypisane na rufie: „*Judea*, Londyn. Czyń lub giń“.

— O młodości! O młoda siło, o młoda wiaro, o młoda wyobraźni! *Judea*, to nie był dla mnie stary gruchot wiozący przez świat za opłatą ładunek węgla — był to dla mnie wysiłek, próba, probierz życia. Myślę o niej z upodobaniem, z miłością,

z żalem — jak się myśli o kimś zmarłym, kogo się kochało. Nie zapomnę jej nigdy... Dajcie butelkę.

— Pewnej nocy, gdy przywiązani do masztu — jak już mówiłem — pompowaliśmy ogłuszeni przez wiatr i tak upadli na duchu że nawet nie pragnęliśmy śmierci, potężny bałwan gruchnął o pokład i przejechał się po nas. Złapawszy oddech, krzyknąłem natychmiast, jak nakazuje służba: „Trzymajcie się chłopcy!“ — i nagle poczułem, że jakiś twardy przedmiot pływający po pokładzie uderzył mnie w łydkę. Chciałem go pochwycić, ale nie natrafiłem na niego. Było tak ciemno, uważacie, że na odległość stopy nie mogliśmy dojrzeć swych twarzy.

— Po tym ciosie statek trwał chwilę w spokoju i ten jakiś przedmiot znów mnie uderzył w nogę. Tym razem złapałem go — a był to rondel. Z początku, ogłupiały ze zmęczenia, myśląc tylko o pompach, nie rozumiałem co mam w ręku. Nagle rozświetliło mi się w głowie i krzyknąłem: „Chłopcy, zniosło domek z pokładu. Rzućcie to, poszukamy kucharza“.

— Na baku była nadbudówka w której znajdował się kambuz, koja kucharza i kwatery załogi. Ponieważ spodziewaliśmy się już oddawna że nadbudówka zostanie zniesiona, kazano majtkom spać w kabinie — jedynym bezpiecznym miejscu na okręcie. Tymczasem steward, Abraham, trzymał się z oślim uporem swej koi — przypuszczam że wprost ze strachu, jak zwierzę które nie chce opuścić stajni walącej się podczas trzęsienia ziemi. Poszliśmy więc go szukać. Narażaliśmy się na śmierć, ponieważ — pozbywszy się więzów — byliśmy bez żadnej ochrony, jak na tratwie. Ale poszliśmy. Nadbudówkę rozwalilo jakby granat w środku wybuchnął. Większa jej część poszła za burtę — piec,

kwatery majtków, ich rzeczy — wszystko poszło; ale dwa słupy podtrzymujące część grodzi, do której była przytwierdzona koja Abrahama, ocalały jakby cudem. Natrafiliśmy na nie, szukając poomacku między zwaliskami, i oto kucharz tam tkwił; siedział na swojej koi wśród piany i szczątków, papłąc do siebie wesoło. Utracił rozum; zwarjował raz na zawsze wskutek tego nagłego wstrząsu, który zmiotł resztę jego wytrzymałości. Chwyciliśmy go, zawlekliśmy na rufę i rzuciliśmy na łeb na szyję w kajutową schodnię. Rozumiecie że nie było czasu znosić go na dół z wszelkimi ostrożnościami, i czekać póki się nie przekonamy jak mu tam jest. Wiedzieliśmy że ci w dole podniosą go z dna schodów — i koniec. Pilno nam było wrócić jaknajprędzej do pomp. One czekać nie mogły. Taki szpetny przeciek to nieludzka bestja.

— Możliwy pomyśleć, że jedynym celem piekielnej burzy było pomieszanie w głowie nieborakowi mulatowi. Nad ranem wiatr ustał, nazajutrz zaś niebo było pogodne, a gdy się morze uspokoiło, woda zaczęła znów przeciekać. Gdy doszło ponownie do częściowego zwinięcia żagli, załoga zażądała powrotu — i rzeczywiście nic nam innego nie pozostawało. Łodzie przepadły, pokład był wymieciony na czysto, kajuta wypatroszona, ludziom zostało się tylko to co mieli na sobie — poza tem nic — zapasy były zepsute, okręt przemęczony. Obróciliśmy go dziobem ku Anglii i — czy dacie wiarę? Pojawił się wiatr od wschodu, prosto nam w oczy. Dał, zimny, dał bezustanku. Musieliśmy wywalczyć sobie każdy cal drogi, lecz statek nie ciekł tak bardzo, gdyż morze było stosunkowo gładkie. Pompować dwie godziny na cztery to nie zabawka — ale trzymało nas to na powierzchni aż do Falmouth.

— Poczciwi ludzie tamtejsi żyli ze szkód wyrządzonych

przez morze i widok nasz ucieszył ich z pewnością. Zgłodniała rzesza cieśli okrętowych wzięła się do ostrzenia dłut, spostrzegłszy ten szkielet okrętu. I, dalibóg, musieli się porządnie obłowić zanim z nami skończyli. Zdaje mi się że właściciel statku był już wówczas w opałach. Zwlekano z decyzją. Wreszcie postanowiono że ładunek zostanie częściowo wyjęty a burty uszczelnione powyżej linii wodnej. Załatwiwszy się z tem, dokończono naprawy i załadowano węgiel z powrotem; nowa załoga zjawiała się na pokładzie, poczem wyruszyliśmy — do Bangkoku. Po upływie tygodnia byliśmy znów zpowrotem. Załoga oświadczyła że nie pojedzie do Bangkoku — sto pięćdziesiąt dni podróży — na gruchocie, który wymaga aby pompować osiem godzin na dwadzieścia cztery; a do rejestrów okrętowych wciągnięto znów krótką notatkę: „*Judea*. Barka. Z Tyne do Bangkoku; węgiel; powróciła do Falmouth z przeciekami i załogą odmawiającą posłuszeństwa“.

— Potem nastąpiła znów zwłoka — łatano w dalszym ciągu. Właściciel przyjechał na jeden dzień i orzekł że statek jest bez zarzutu. Biedny stary kapitan Beard wyglądał jak duch wskutek tych wszystkich trosk i upokorzeń. Nie zapominajcie że miał już sześćdziesiątkę i że to było pierwsze jego dowództwo. Mahon powiedział: „To głupi interes, który się źle skończy“. Kochałem statek więcej niż kiedykolwiek i strasznie mi się chciało dostać do Bangkoku. Bangkok! Czarodziejska nazwa, błogosławiona nazwa. Gdzie tam do niej Mezopotamji. Pamiętajcie że miałem dwadzieścia lat, że jechałem pierwszy raz jako drugi oficer, że Wschód czekał na mnie.

— Wyszliśmy i stanęliśmy na kotwicy po zewnętrznej stronie portu ze świeżą załogą — trzecią z rzędu. Statek

przeciekał gorzej niż kiedykolwiek. Zdawało się że ci przeklećci cieśle doprawdy zrobili w nim dziurę. Tym razem nie opuściliśmy nawet portu. Załoga odmówiła poprostu pracy przy windzie kotwicznej.

— Odholowano nas zpowrotem do wewnętrznego portu i staliśmy się miejscową przynależnością, cechą, instytucją. Ludzie pokazywali nas przyjezdnym: „O, to ta barka co ma jechać do Bangkoku — jest tu już od pół roku — trzy razy wracała z drogi“. W dni świąteczne mali chłopcy kręcący się w łódkach okrzykiwali nas: „Hej, hej, na *Judei*“! — a gdy czyjaś głowa pojawiała się nad burtą, wołali: „Dokąd jedziecie? do Bangkoku?“ i drwili z nas. Byliśmy tylko we trzech na statku. Biedny stary kapitan gryzł się w kajucie. Mahon zajął się kuchnią i nadspodziewanie rozwinął talent iście francuski w przyrządzaniu doskonałych skromnych potraw. A ja zajmowałem się od niechcienia takielunkiem. Staliśmy się obywatelami Falmouth. Znał nas każdy sklepikarz. U golarza czy w składzie tytoniu zapytywano poufnie: „Czy pan myśli że dojedziecie do Bangkoku“? Tymczasem właściciel, akcjonariusze i dzierżawcy statku swarzyli się między sobą w Londynie, a pensje nam wciąż wypłacano... Dajcie butelkę.

— To było okropne. Moralnie było gorzej niż wówczas, gdy pompowaliśmy aby ujść z życiem. Zdawało się że świat o nas zapomniał, że nie należymy do nikogo, że nie pojedziemy już nigdzie; zdawało się, że — niby zaczarowani — będziemy musieli żyć na wieki wieczne w tym wewnętrznym porcie — jako pośmiewisko, jako legenda dla całych pokoleń łazęgow z wybrzeża i nieuczciwych przewoźników. Dostałem pensję za trzy miesiące, urlop pięciodniowy — i machnąłem się do Londynu. Podróż w jedną stronę zajęła mi dzień, powrót —

drugi, ale tak czy siak, trzymiesięczna pensja poszła. Nie wiem co z nią zrobiłem. Byłem, zdaje się, w music-hallu, jadałem śniadania, obiady i kolacje w sztywnej restauracji na Regent Street, i wróciłem na oznaczony czas, mając do pokazania — jako owoc trzymiesięcznej pracy — komplet dzieł Byrona i nowy pled podróżny. Przewoźnik, który wiozł mię na statek, rzekł: „No, no! myślałem, że pan już rzucił ten stary grat. *Ona* nigdy nie dojedzie do Bangkoku“. „Powiedział co wiedział“ — odparłem pogardliwie — ale wcale mi się to proroctwo nie podobało.

— Nagle zjawił się jakiś osobnik — coś w rodzaju czyjegós agenta — wyposażony w zupełne pełnomocnictwa. Miał twarz pokrytą wyrzutami od picia grogu, nieposkromioną energję, wesoły był i dobroduszny. Zbudziliśmy się znów do życia. Podjechał do nas hulka i zabrał ładunek, poczem przenieśliśmy się do suchego doku, gdzie mieli zdjąć miedziane poszycie z dna statku. Nie dziwota że okręt przeciekał. Udręczony przez burzę do ostatecznych granic wytrzymałości, wypłuł nieborak — jakby ze wstrętu — wszystkie pakuły ze swoich niższych szwów. Zapchano na nowo szpary, obito kadłub miedzią — okręt stał się szczelnym jak butelka. Podjechaliśmy do hulka i przeładowaliśmy znów towar.

— Wówczas — pewnej pięknej księżycowej nocy — wszystkie szczury opuściły okręt.

— Wydręczyły nas niemożliwie. Zniszczyły nam żagle, pochłoneły więcej żywności niż załoga, uprzejmie dzieliły z nami łóżka i niebezpieczeństwa, a teraz, gdy okręt nadawał się znów do podróży, postanowiły się wynieść. Zawołałem Mahona aby się cieszył tym widokiem. Szczur za szczurem zjawiał się na naszym nadburciu, oglądał się po raz ostatni i

skakał z głuchym łoskotem w pusty kadłub hulka. Usiłowaliśmy je policzyć, ale wkrótce straciliśmy rachubę. Mahon rzekł: „No, no! Nie mówcie mi o inteligencji szczurów. Powinny były opuścić nas przedtem, kiedyśmy o włos nie zatonęli. Ma pan tu dowód, jaki niemądry jest przesąd co do szczurów. Porzucają dobry statek dla starego, zbutwiałego pudła, gdzie w dodatku niema nic do jedzenia. Głupie zwierzęta!... Nie wierzę aby wiedziały, co dla nich jest dobre lub złe, lepiej od pana albo odemnie“.

— I, porozmawiawszy czas jakiś, zgodziliśmy się na to że mądrość szczurów grubo jest przeceniona, gdyż w gruncie rzeczy nie przewyższa ludzkiej mądrości.

— Historia statku była już wówczas znana wzdłuż kanału — w górę od Land's End aż do Forelands, i nie mogliśmy dostać załogi na południowym wybrzeżu. Przysłano nam całą, skompletowaną, z Liverpoolu i wyruszyliśmy jeszcze raz — do Bangkoku.

— Mieliśmy pomyślne wiatry i gładkie morze aż do zwrotników, a stara *Judea* sunęła ociężała w słońcu. Gdy robiła osiem węzłów, wszystko w górze trzeszczało i przywiązywaliśmy sobie czapki do głów; ale przeważnie wlokła się z szybkością trzech mil na godzinę. Czegóż innego można się było spodziewać? Stary okręt był już zmęczony. Młodość jego była tam gdzie teraz moja — gdzie wasza — towarzysze, którzy słuchacie tej mojej opowieści; a czyż przyjaciel świeciłby wam w oczy waszemi latami i waszem znużeniem? Nie szemraliśmy na *Judeę*. Przynajmniej jeśli chodzi o nas, tych z rufy — zdawało się nam żeśmy się na niej urodzili, wychowali, żeśmy żyli na niej przez całe wieki, nie znając nigdy żadnego innego statku. Byłbym mógł równie

dobrze zwymyślać w kraju stary wiejski kościółek, za to że nie jest katedrą.

A ja miałem za sobą jeszcze i młodość, która dodawała mi cierpliwości. Cały Wschód był przede mną, i całe życie, i myśli że na tym statku zostałem poddany próbie i wcale dobrze z niej wyszedłem. Myślałem także o ludziach, którzy przed wiekami dążyli tym samym szlakiem — na okrętach nie lepiej żeglujących — do kraju palm, i korzeni, i żółtych piasków, i brunatnych ludów rządzonych przez królów okrutniejszych od rzymskiego Nerona — i wspanialszych niż żydowski Salomon. Stara barka włokła się, ocieężała od wieku i brzemienia swego ładunku, ja zaś żyłem życiem młodości, nieświadom niczego i pełen nadziei. Statek sunął powoli przez nieskończoną procesję dni; a świeża pozłota odbijała zachodzące słońce i zdawała się rzucać nad ciemniejące morze słowa wymalowane na rufie: „*Judea*. Londyn. Czyń lub giń“.

— Wjechaliśmy na ocean Indyjski, sterując na północ ku Jawajskiemu przyłądkowi. Wiatry były słabe. Mijały tygodnie. *Judea* pełzła naprzód — „czyń lub giń“ — a ludzie w kraju zaczęli nas uważać za opóźnionych.

— Raz w sobotę wieczorem nie miałem służby i ludzie poprosili abym im wydał nadetatowy kubeł wody — do prania. Ponieważ nie chciałem pompować słodkiej wody tak późno, poszedłem, pogwizdując, na bak z kluczem w ręku aby otworzyć małą przednią lukę, gdyż zamierzałem wydać wodę z zapasowego zbiornika któryśmy tam trzymali.

Zapach w dole był równie nieoczekiwany jak okropny. Można było pomyśleć, że setki lamp naftowych palą się i kopcą w tej dziurze całymi dniami. Byłem rad kiedyś się stamtąd wydostał. Majtek, który był ze mną, zakaszał i rzekł:

„Dziwny zapach, proszę pana“. Odpowiedziałem niedbale: „To podobno dobrze robi na zdrowie“ — i poszedłem w stronę rufy.

Przedewszystkiem wetknąłem głowę w kwadratowy otwór wentylatora na śródkręciu. Gdy podnosiłem wieko, powiew widzialny dla oka, coś jakby wąta mgła, kłęb leciutkiego oparu podniósł się nad otworem. Wznoszące się powietrze było rozgrzane, duszne, czuć je było kopciem i naftą. Pociągnąłem raz nosem i zamknąłem delikatnie pokrywę. Niewarto było się dusić. Ładunek się palił.

— Nazajutrz okręt zaczął już dymić na dobre. Widzicie, należało się tego spodziewać, bo choć węgiel był w dobrym gatunku, przesypywano go tyle razy i tak go przytem pokruszono, że wyglądał poprostu jak węgiel do kuźni. A przytem zmókł — i to nieraz. Padało przez cały czas gdyśmy go przeładowywali z hulka, teraz zaś rozgrzał się podczas tego długiego przejazdu — i oto zaszedł wypadek samorodnego ognia.

— Kapitan wezwał nas do kajuty. Wyglądał na zgnębionego; na stole rozłożona była mapa. Rzekł: „Wybrzeże zachodniej Australji jest blisko, ale zamierzam zdążyć w dalszym ciągu do wyznaczonego nam portu. Mamy teraz w dodatku miesiąc huraganów; zachowamy jednak kierunek na Bangkok i będziemy walczyli z ogniem. Żadnego wracania się już nie będzie, choćbyśmy się mieli upiec. Sprobujemy najpierw zdusić ten przekłety pożar przez brak powietrza“.

— Spróbowaliśmy. Pozatykaliśmy wszystkie szpary, a jednak wciąż dymiło. Dym wydobywał się przez niedostrzegalne szczeliny, przeciskał się przez grodzie i pokrywy, wypływał i tu, i tam, i wszędzie, cienkimi nitkami, niewidzialną mgłą, w niepojęty sposób. Przedostał się do

kajuty, do kasztelu; pozatruwał osłonięte miejsca na pokładzie, czuło się go aż na głównej rei środkowego masztu. Jasnym było że jeśli dym wychodził, to powietrze wchodziło. Działo to na nas zniechęcająco. Ten pożar nie dawał się zdusić.

— Postanowiliśmy uciec się do wody i zdjęliśmy z luk pokrywy. Olbrzymie masy dymu, białawe, żółtawe, gęste, tłuste, mgliste, duszące, wzniosły się aż na wysokość masztów. Wszyscy ludzie wycofali się na rufę. Zatruta chmura odpłynęła i wróciliśmy do pracy wśród dymu, który już nie był gęściejszy od zwykłego dymu z fabrycznego komina.

— Przygotowaliśmy pompę tłoczącą i wydobyliśmy gumową kiskę, która pękła wkrótce. Była równie stara jak statek — poprostu przedhistoryczna kiszka nie nadająca się już do naprawy. Wprawiliśmy w ruch słabą pompę dziobową, czerpiąc przytem wodę wiadrami, i tym sposobem zdołaliśmy wkrótce wlać do głównej luki całe masy Indyjskiego oceanu. Jasny strumień błyszczał w słońcu, wpadał w cienką warstwę białego, czołgającego się dymu i znikał na czarnej powierzchni węgla. Podnosiła się para zmieszana z dymem. Leliśmy słońcą wodę jak w beczkę bez dna. Pompowanie było naszym losem na tym okręcie, wylewanie z niego wody i wlewanie jej zpowrotem; usunąwszy ze statku wodę aby ocalić się od zatonięcia, leliśmy w niego wodę jak najęci aby się ocalić od spalania.

— *A Judea* pełzła naprzód — „czyń lub giń“ — wśród pięknej pogody. Niebo było cudem czystości, lazurowym cudem. Morze było gładkie, było błękitne, było przejrzyste, było wyiskrzane, jak drogocenny kamień otaczający nas na wszystkie strony aż do widnokręgu — jakby cały glob ziemski był jednym klejnotem, jednym, olbrzymim szafirem — drogim

kamieniem przetworzonym w planetę. A po blasku wielkich, spokojnych wód sunęła nieznacznie *Judea*, spowita w leniwe i nieczyste opary, w ociążałą chmurę spływającą ku stronie podwietrznej — jasną i powolną; w cuchnącą chmurę, która kalała wspaniałość morza i niebios.

— Przez cały czas, oczywiście, nie widzieliśmy wcale ognia. Ładunek tlił się gdzieś od spodu. Raz, gdyśmy pracowali ramię w ramię, Mahon rzekł do mnie ze szczególnym uśmiechem: „No, gdyby tak teraz zrobiła się porządna szpara w kadłubie — jak wtedy gdyśmy pierwszy raz wypłynęli z kanału — toby zaszpuntowała ten ogień. Prawda“? Zauważyłem bez związku: „Pamięta pan szczury?“

— Walczyliśmy z ogniem a zarazem pełniliśmy służbę na statku, tak starannie jakby wszystko było w porządku. Steward gotował i obsługiwał nas. Z pozostałych dwunastu ludzi ośmiu pracowało, podczas gdy czterej wypoczywali. Na każdego przychodziła kolej, nie wyłączając kapitana. Równość była zupełna, a jeśli nie dosłowne braterstwo, to w każdym razie wiele wzajemnej życzliwości. Czasem który z majtków, śmignawszy wiadro wody w lukę, wykrzykiwał: „Niech żyje Bangkok!“ — a reszta się śmiała. Ale naogół byliśmy milczący i poważni — i spragnieni. Ach, jacy spragnieni! A z wodą trzeba było się obchodzić ostrożnie. Wdzielano ściśle porcje. Statek dymił, słońce jaśniało... Dajcie butelkę.

— Próbowaliśmy wszystkiego. Usiłowaliśmy nawet dokopać się do ognia. Oczywiście było to na nic. Nikt nie mógł wytrzymać w dole więcej niż minutę. Mahon zeskoczył pierwszy i zemdlał tam; to samo stało się z majtkiem, który się spuścił po niego. Wyciągnęliśmy ich na pokład. Potem znów ja zeskoczyłem, aby pokazać jak to się łatwo da zrobić. Mieli już

wówczas doświadczenie, i poprzestali na tem że wyłowili mnie zapomocą haka na łańcuchu, przymocowanym, zdaje się, do kija od szczotki. Nie zaproponowałem że wrócę po szufłę, którą zostawiłem tam w dole.

— Zaczęło to brzydko wyglądać. Spuściliśmy na morze szalupę. Druga łódź była gotowa do spuszczenia. Mieliśmy też jeszcze jedną, czternastostopową łódkę wiszącą na żórawikach z tyłu, gdzie była zupełnie bezpieczna.

— I oto — wyobraźcie sobie — dym zaczął się nagle zmniejszać. Podwoiliśmy wysiłki aby zalać całe dno okrętu. Po dwóch dniach wcale już dymu nie było. Każdy z nas uśmiechał się od ucha do ucha. To było w piątek. W sobotę nie mieliśmy już żadnej pracy, oczywiście poza obsługą statku. Ludzie uprali sobie ubrania, umyli twarze pierwszy raz od dwóch tygodni, i dostali specjalny obiad. Mówili z pogardą o samorodnym ogniu, dając do zrozumienia że kto jak kto, ale *oni* to już umieją dać sobie z tem radę. Czuliśmy się tak, jakby każdy z nas odziedziczył duży majątek. Ale paskudny zapach spalenizny wałęsał się wciąż po okręcie. Kapitan Beard miał wpadnięte oczy i zakłęśłe policzki. Nigdy przedtem nie zauważyłem jaki jest koślawy i pochylony. Obaj z Mahonem krążyli spokojnie — węsząc — u luk i wentylatorów. Uderzyło mnie nagle, że biedny Mahon jest bardzo, bardzo starym jegomościem. Co do mnie, byłem taki uradowany i dumny, jakbym był pomógł do wygrania wielkiej morskiej bitwy. O młodości!

— Noc była piękna. Rano minął nas za rufą statek dążący do kraju — pierwszy, jaki widzieliśmy od miesięcy; ale zbliżaliśmy się już nakoniec do lądu, przylądek Jawajski był oddalony o jakieś sto dziewięćdziesiąt mil prawie w prostej

linji na północ.

— Nazajutrz wypadła mi od ósmej do dwunastej wachta na pokładzie. Przy śniadaniu kapitan zauważył: „To dziwne jak ten zapach wciąż się trzyma kajuty“. Około dziesiątej, gdy pierwszy oficer był na tylnym pomoście, zeszedłem na chwilę na główny pokład. Za głównym masztem stał warsztat ciesielski; oparłem się o niego, pykając fajkę, a cieśla, młody chłopak, zbliżył się, aby ze mną pogawędzić. Zagadnął: „Tak mi się widzi, że sprawiliśmy się bardzo porządnie, no nie?“ — i w tej samej chwili spostrzegłem z rozdrażnieniem że ten bałwan usiłuje przechylić warsztat. Rzekłem sucho: „Przestań, Chips“ i natychmiast zdałem sobie sprawę z dziwnego uczucia, z idyotycznego złudzenia — wydało mi się mianowicie, że jestem w powietrzu. Naokoło siebie słyszałem jakby jakiś potężny, długo powstrzymywany oddech — jakby z tysięcy olbrzymów rzekło jednocześnie: „Phuu“! — i poczułem tępe wstrząśnienie, od którego zaboląły mię nagle żebra. Nie ulegało wątpliwości — znajdowałem się w powietrzu; ciało moje zakreślało krótką parabolę. Ale choć była krótka, zdążyłem sformułować przez ten czas kilka myśli, i o ile pamiętam w następującym porządku: „Tego nie zrobił cieśla — Co to takiego? — Jakiś wypadek — Wulkan podwodny? — Węgle, gaz! Boże wielki! wylatujemy w powietrze — Wszyscy zginęli — wpadam do tylnej luki — widzę że się tam pali“.

— Pył węglowy, zawieszony w powietrzu ładowni, zapalał ciemną czerwienią w chwili wybuchu. W mgnieniu oka, po upływie minimalnej części sekundy od pierwszego przechylenia się warsztatu, leżałem jak długi na ładunku. Podniosłem się i wygramoliłem. Stało się to szybko, jakgdybym się odbił. Pokład był gąszczem strzaskanych

drewien, krzyżujących się jak drzewa w lesie po przejściu huraganu; olbrzymia zasłona z ciężkich łańchmanów powiewała zwolna przede mną — główny żagiel poszarpany na strzępy. Pomyślałem: „Maszty runą natychmiast“ — i aby usunąć się na bok, popędziłem na czworakach ku trapowi na rufie. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Mahon z oczyma jak spodki i otwartymi ustami; długie białe włosy stały wkoło jego głowy jak srebrna aureola. Miał właśnie zejść na dół, gdy skamieniał u szczytu schodów na widok głównego pokładu, który się poruszył, podniósł i zmienił w drzazgi w jego oczach. Gapiłem się na Mahona nie wierząc własnym oczom, a on patrzył we mnie z jakąś dziwną, zgorzszą ciekawością. Nie wiedziałem że nie mam włosów, brwi, rzęs, że moje młodociane wąsiki są spalone, twarz czarna, policzek rozcięty, nos skaleczony i broda we krwi. Zgubiłem czapkę, jeden trzewik, a koszulę miałem poszarpaną na łańchmany. O tem wszystkim nie miałem pojęcia. Byłem zdumiony że statek trzyma się jeszcze na wodzie, że tylny pomost jest cały — a najbardziej mię zdumiewał widok kogoś żywego. Spokój nieba i pogodne morze dziwiły mnie też niezmiernie. Widocznie się spodziewałem że będą się wić ze zgrozy... Dajcie butelkę.

— Jakiś głos obwoływał skądś statek — z powietrza, z nieba — nie umiałem zdać sobie sprawy. Wkrótce zobaczyłem kapitana — a kapitan miał bzika. Zapytał mnie skwapliwie: „Gdzie jest stół z kajuty“? To pytanie wstrząsnęło mną strasznie. Zrozumcie, dopiero co wyleciałem w powietrze i dygotałem po tem przeżyciu — nie byłem zupełnie pewien czy żyję. Mahon zaczął tupać obiema nogami i wrzasnął do kapitana: „Boże święty, czy pan nie widzi że pokład wyleciał w powietrze?“ Odzyskałem głos i wyjąkałem, jakbym się

poczuwał do zaniedbania jakiegoś ważnego obowiązku: „Nie wiem gdzie jest stół z kajuty“. To wszystko było jak jakiś idjotyczny sen.

— Czy wiecie czego potem zażądał? Zażądał żeby zbrasować reje. Z wielkim spokojem, jakby był zatopiony w myślach, nalegał aby obrócić przednią reję na trawers. „Ja nie wiem czy kto jeszcze żyje“ — rzekł Mahon prawie z płaczem. „Z pewnością zostało ich dość“, odpowiedział kapitan łagodnie — „żeby obrócić przednią reję na trawers“.

— W chwili wybuchu staruszek był, jak się zdaje, w swojej kabinie i nakręcał właśnie chronometry, gdy się zatoczył od wstrząsu. Natychmiast przyszło mu na myśl — jak później opowiadał — iż barka o coś uderzyła — i wybiegł do kajuty. Tam spostrzegł że stół gdzieś zniknął. Gdy pokład wyleciał w powietrze, stół spadł oczywiście do magazynu. Na miejscu gdzie tego dnia rano jedliśmy śniadanie, kapitan zobaczył tylko wielką dziurę w podłodze. To mu się wydało tak strasznie tajemniczem i zrobiło na nim tak olbrzymie wrażenie, że wszystko co widział i słyszał, wydostawszy się na pokład, było już dla niego drobnostką. A pomyślcie że spostrzegł natychmiast porzucone koło od steru, spostrzegł że barka zboczyła z drogi — i jedyną jego myśl stanowiło skierować tę nędzną, obdartą, pozbawioną pokładu, tlejącą łupinę dziobem ku wyznaczonemu portowi. Bangkok! szło mu tylko o to. Mówię wam że ten spokojny, pochylony, prawie ułomny człowiek o pałakowatych nogach był olbrzymem w prostocie swego zamysłu, w spokojnej niewiedzy o naszym wzburzeniu. Skierował nas ku przodowi rozkazującym gestem i poszedł sam ując koło.

— Tak, to była pierwsza rzecz którą zrobiliśmy —

zbrasowaliśmy reje na tym wraku! Nikt nie zginął ani nie stał się niezdolny do pracy, ale każdy z nas był ciężiej lub lżej ranny. Trzeba wam było ich widzieć! Niektórzy byli w łachmanach, z czarnymi twarzami — jak węglarze, jak kominiarze — a głowy ich, gładkie jak kule, wyglądały niby krótko ostrzyżone, ale w rzeczywistości osmalone były do skóry. Inni, ci z dolnej wachty, którzy podczas snu zostali wysadzeni z zapadających się koj, trzęśli się bezustanku i jęczeli, nawet krzątając się przy pracy. Ale pracowali wszyscy. Ta liverpoolska załoga, załoga od ciężkich wypadków, miała w sobie odpowiedni materiał. Wiem z doświadczenia że marynarze mają go zawsze. To morze go daje — obszar, samotność otaczająca ciemne, tępe dusze. No więc — potykaliśmy się, czołgali, padali, zdzieraliśmy sobie skórę o te szczątki — i zmieniliśmy kurs statku w kierunku wiatru. Maszty stały, ale nie wiedzieliśmy na ile są zwęglone od dołu. Było prawie zupełnie spokojnie, lecz długa fala nadbiegła od zachodu i rozkołysała statek. Maszty mogły runąć lada chwila. Popatrywaliśmy na nie z lękiem. Niepodobna było przewidzieć, w którą stronę upadną.

— Potem cofnęliśmy się na rufę i rozejrzeliśmy się. Pokład był płataniną desek leżących bokiem i stojących na sztorc, szczap, zdruzgotanych sprzętów z drzewa. Maszty wznosiły się z tego chaosu jak wielkie drzewa nad skłębionem poszyciem lasu. Puste miejsca wśród masy szczątków były wypełnione czemś białawem, poruszającym się ślimaczo, podobnym do tłustej mgły. Dym z niewidzialnego ognia znów się pokazał, słał się jak trujący, gęsty opar w jakiejś dolinie zawalonej martwymi drewnami. Ospale kosmyki zaczynały się już kłębić ku górze wśród masy szczap. Gdzieniegdzie kawał drewna

tkwił prostopadle, podobny do słupa. Pół kołkownicy przymasztowej przebiło przedni żagiel, a niebo kładło plamę wspaniałego błękitu na ohydne zszargane płótno. Kilka desek trzymających się razem upadło wpoprzek poręczy, i jedna deska wystawała za burtę niby kładka nie prowadząca nigdzie, niby kładka prowadząca nad głębokie morze, prowadząca w śmierć — jakby nas zapraszała aby wejść na nią odrazu i skończyć z naszymi śmiesznymi troskami. A powietrze, niebo — duch jakiś, coś niewidzialnego — obwoływało wciąż okręt.

— Któryś z nas był na tyle rozsądny że spojrzął za burtę — i okazało się iż tam jest sternik, który skoczył instynktownie w morze, a teraz chciał się dostać zpowrotem. Krzyczał i płynął gwałtownie jak tryton, trzymając się na jednej linji z okrętem. Rzuciliśmy mu linę; stanął wkrótce między nami ociekający wodą i wielce zgębiony. Kapitan oddał mu koło i usunął się na bok; z łokciem wspartym o poręcz i brodą w dłoni patrzył zamyślony na morze. Pytaliśmy się siebie: co teraz będzie? A ja myślałem: No, to jest coś porządnego. To doprawdy jest wielkie. Ciekawym co się też stanie... O młodości!

— Nagle Mahon dojrzał parowiec daleko za rufą. Kapitan Beard rzekł: „Możemy jeszcze coś z nim zrobić“. Wywiesiliśmy dwie flagi, które znaczą w międzynarodowym morskim języku: „Pożar. Potrzebna natychmiastowa pomoc“. Parowiec powiększył się szybko i wkrótce przemówił dwiema flagami na przednim maszcie: „Idę na ratunek“.

— W pół godziny znalazł się na jednej linji z nami po stronie nawietrznej, na odległość głosu, kołysząc się zlekka z zatrzymanymi maszynami. Straciliśmy panowanie nad sobą i wrzasnęliśmy wszyscy razem w podnieceniu: „Wysadziło nas w powietrze“! Jakiś człowiek w białym hełmie, stojący na

mostku, odkrzyknął: „Aha! Dobrze, dobrze“! — i kiwał głową, i uśmiechał się, i machał ku nam ręką łagodnie, jakbyśmy byli gromadą przerażonych dzieci. Jedna z łodzi opadła na wodę i szła ku nam po morzu długimi wiosłami. Czterej kalasze wiosłowali, rozkołysani miarowo. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy malajskich żeglarzy. Poznałem ich później dobrze, ale wówczas uderzyła mnie ich obojętność: podjechali tuż pod burtę i nawet dziobowy, trzymający się bosakiem naszych cum, nie raczył podnieść głowy i spojrzeć w górę. Pomyślałem że ludzie, którzy wylecieli w powietrze, zasługują na więcej uwagi.

— Mały człowieczek, suchy jak wiór i zręczny jak małpa, wspinał się na górę. Był to pierwszy oficer z parowca. Rzucił okiem i zawołał: „Oj chłopcy — opuście wy lepiej okręt“.

— Milczeliśmy. Rozmawiał z kapitanem czas jakiś na osobności — zdawał się coś mu przekładać. Potem pojechali razem na parowiec.

— Kiedy nasz szyper wrócił, dowiedzieliśmy się że parowiec nazywa się *Somerville* a kapitan Nash, i że wiozą pocztę z zachodniej Australji do Singapuru przez Batawję. Kapitan zgodził się holować nas do Andżeru albo Batawji — jeśli to będzie możliwe — gdzie ugasimy ogień, zrobiwszy dziurę w dnie statku, poczem puścimy się znowu w drogę — do Bangkoku! Nasz stary wyglądał na podnieconego. „Jeszcze tam zajedziemy“ — rzekł z zawziętością do Mahona. Pogroził pięścią niebu. Nikt się już nie odezwał.

— O dwunastej parowiec zaczął nas holować. Jechał naprzód, smukły i wysoki, a to co pozostało z *Judei* dążyło za nim szybko na końcu siedemdziesięcio-sążniowej liny holowniczej, jak obłok dymu ze sterczącymi w górę masztami.

Wspięliśmy się na maszty aby zwinąć żagle. Kaszlaliśmy na rejach, układając starannie buchty. Czy sobie wyobrażacie tę naszą gromadkę tam w górze, zwijając porządnie żagle okrętu, któremu było sądzone nigdzie już nie dojechać? Nie znalazł się między nami ani jeden, któryby nie pomyślał że maszty runą lada chwila. Dym nie pozwalał nam dojrzeć z góry pokładu, a ludzie pracowali starannie, okręcając sejzyngi w równych odstępach.

— „Zwijać mi żagle po portowemu — tam w górze!“ — krzyknął z dołu Mahon.

— Czy wy to rozumiecie? Nie zdaje mi się aby którykolwiek z tych chłopców sądził, że się dostanie na dół zwyczajnym sposobem. Kiedyśmy zeszli, słyszałem jak mówili między sobą: „No, byłem pewien że się zwalimy za burtę — wszystko w kupie — i patyki i my — żebym skisł jeśli tak nie myślał“. „A jakże, i ja też tak myślałem“ — odrzekło znużonym głosem inne poharatane i obandażowane czupiradło. I pomyślcie — przecie ci ludzie nie mieli za sobą karności wdrożonej przez musztrę. Dla postronnego widza wyglądałoby jak zbiorowisko skończonych urwipołciów, nie mających żadnej jaśniejszej strony. Co ich skłoniło do wykonania tego rozkazu, co sprawiło że byli mi posłuszni, gdy — myśląc z całą świadomością jakie to piękne — kazałem im dwa razy opuścić bant przedniego żagla i lepiej go złożyć? Co tu wchodziło w grę? Ci majtkowie nie mieli zawodowej ambicji, ani wzorów, nie oczekiwali pochwał. Nie przemawiało przez nich poczucie obowiązku; wszyscy umieli się doskonale wymawiać, wykrecać i wałkonić — kiedy mieli ochotę — a przeważnie ją mieli. Czy odgrywały tu rolę te dwa funty dziesięć szylingów na miesiąc? Uważali że powinni mieć przynajmniej dwa razy tyle. Nie; przyczyną ich

zachowania było coś co tkwiło w nich samych, co jest wrodzone, i subtelne, i wieczne. Nie twierdzą stanowczo, że załoga francuskiego lub niemieckiego okrętu nie byłaby mogła tego zrobić, ale wątpię czy zrobiłaby to w ten sposób. Była w tem jakaś skończoność, coś co równie jest mocne jak zasada i równie potężne jak instynkt — ujawnienie czegoś tajnego, ukrytego — tego daru dobra czy zła który stanowi o rasie, który kształtuje los narodów.

— Właśnie tej nocy o dziesiątej ujrzeliśmy po raz pierwszy ogień któryśmy zwalczali. Znaczna szybkość, jaką rozwinął statek podczas holowania, rozdmuchała tlejące zarzewie. Niebieskie światło ukazało się na przodzie, błyszcząc pod wrakiem pokładu. Chwiało się płatami, zdawało się poruszać i pełzać jak światło świętojańskiego robaczka. Spostrzegłem je pierwszy i powiedziałem o tem Mahonowi. „No, to już wszystko skończone“, rzekł. „Dajmy lepiej pokój temu holowaniu, bo inaczej statek wybuchnie nagle z tyłu i z przodu zanim zdążymy uciec“. Okrzyknęliśmy się głośno; zaczęliśmy dzwonić aby zwrócić uwagę ludzi z parowca; nic z tego, holowali nas w dalszym ciągu. Wreszcie Mahon i ja musieliśmy popełznąć na bak i przeciąć linę toporem. Nie było czasu na odwiązywanie postronków. Pokazywały się już czerwone języki liżące gąszcz szczap pod naszymi nogami, gdyśmy wracali na rufę.

Oczywiście na parowcu spostrzeżono prędko że lina znikła. Rozległ się głośny gwizd, światła parowca zatoczyły rozległe półkole, statek zbliżył się do nas i zatrzymał burta w burtę. Staliśmy wszyscy zbitą gromadką na rufie i patrzyliśmy na niego. Każdy majtek wyratował niewielkie zawiniątko lub torbę. Nagle stożkowaty płomień o skręconym czubie strzelił w

górze nad bakiem i rzucił na czarne morze krąg światła naokoło tych dwóch statków, kołyszących się zlekka obok siebie. Kapitan Beard siedział od wielu godzin na okratowaniu, milczący i nieruchomy; teraz dźwignął się powoli i wysunął na czoło naszej gromadki, aż do want masztu tylnego. Kapitan Nash zawołał:

— „Chodźcie do nas! Spieszcie się. Mam na statku worki z pocztą. Zabiorę was i wasze łodzie do Singapur“.

— „Nie, dziękuję panu — rzekł nasz szyper. — Musimy dotrzeć aż do końca“.

— „Nie mogę zostać z wami ani chwili dłużej — krzyknął tamten. Poczta — pan rozumie“.

— „Tak, naturalnie. Nic nam nie trzeba“.

— „Doskonale! Doniosę o was w Singapurze... Dowidzenia“!

Skinął ręką na pożegnanie. Nasi ludzie położyli spokojnie węzłki. Parowiec posunął się naprzód i, wyszedłszy z kręgu światła, znikł natychmiast z naszych oczu, olśnionych przez ogień palący się gwałtownie. I wówczas już wiedziałem, że ujrzę wschód po raz pierwszy jako dowódca małej łódki. Wydało mi się to pięknem, i wierność dla starego statku była też piękna. Obowiązek wymagał aby dotrzeć na nim do końca. O blasku młodości! O młodzieńczy ogniu, który olśniewasz bardziej niż płomień palącego się statku, i rzucasz czarodziejską jasność na szeroką ziemię, i skaczesz zuchwale w niebo — póki wnet ciebie nie stłumi czas, bardziej okrutny i bezlitosny, bardziej gorzki niż morze — młody ogień, jak płomień palącego się statku otoczony nieprzeniknioną nocą.

*

*

Stary upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, że obowiązek wymaga aby ocalić ze sprzętów okrętowych ile tylko się da — dla akcjonariuszów. Tedy poszliśmy pracować na rufę, a okręt palił się od przodu aby dostarczyć nam światła poddostatkiem. Powyciągaliśmy mnóstwo rupieci. Czego tam nie było! Stary barometr, przymocowany idjotyczną ilością śrubek, kosztował mię prawie życie: dym ogarnął mnie nagle i ledwie zdążyłem uciec. Były tam różne zapasy, bale żaglowego płótna, zwoje lin: rufa wyglądała jak jaki bazar morski, a łódki były zapchane aż po burty. Mogło się zdawać że stary chciał zabrać ile tylko się dało ze swego pierwszego dowództwa. Był bardzo, bardzo spokojny, tylko najwidoczniej stracił równowagę. Czy uwierzycie? Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od zapasowej kotwicy i kotwicę zawozową. Odpowiadaliśmy z szacunkiem: „Dobrze, dobrze, panie kapitanie“ — i pocichu spuszczaaliśmy różne przedmioty za burtę. Ciężka skrzynia z lekarstwami poszła tą drogą, dwa worki zielonej kawy, puszki z farbą — wyobraźcie sobie, puszki z farbą! — całe mnóstwo rzeczy. Potem dostałem rozkaz aby z dwoma ludźmi wsiąść do łodzi, wszystko uporządkować i trzymać się w pogotowiu, czekając na chwilę gdy trzeba będzie statek opuścić.

Doprowadziliśmy wszystko do ładu, ustawiliśmy w szalupie maszt naszego szypra, który miał objąć nad nią komendę, i z przyjemnością usiadłem sobie na chwilę. Nie miałem naskórka na twarzy, członki bolały mię jak połamane, czułem wszystkie żebra, i byłbym przysięgł że mam przetrącony krzyż. Łódki, tuż za rufą, leżały w głębokim cieniu, a naokoło widziałem

krąg morza oświetlony przez ogień. Olbrzymi płomień wznosił się nad bakiem, prosty i jasny. Płonął gwałtownie wśród szmerów podobnych do trzepotu skrzydeł, wśród dudnienia podobnego do grzmotów. Rozlegały się trzaski, huki, ze stożkowego ognia leciały w górę iskry — jako że człowiek rodzi się dla trosk, dla borykania się z ciekącymi statkami, i ze statkami które się palą.

— Okręt leżał bokiem do fali i do wiatru — który ledwie, ledwie że dmuchał — a najwięcej niekoilo mnie to, że łódki nie chciały się trzymać za rufą gdzie były bezpieczne, ale z bezmyślnym uporem, właściwym łódkom, pchały się pod konchę aby się potem kołysać wzdłuż burty. Płatały się niebezpiecznie to tu, to tam, zbliżając się do ognia, a okręt najeżdżał na nie, i oczywiście groziło wciąż że maszty zwałą się lada chwila za burte. Ja i dwóch moich majtków odpychaliśmy łódki w miarę sił wiosłami i bosakami, ale zaczęło mnie to wreszcie złościć, tembardziej że nic nie stało na przeszkodzie natychmiastowemu odjazdowi. Nie mogliśmy dojrzeć ludzi na pokładzie ani odgadnąć co było przyczyną zwłoki. Majtkowie klęli pod nosem, a ja nietylko musiałem odrabiać swoją część pracy, ale i przynaglać do niej dwóch ludzi, którzy zdradzali nieustanną skłonność do położenia się i machnięcia ręką na wszystko.

— Wreszcie zawołałem: „Hej tam na pokładzie“! Ktoś wyjrzał z za burty. „Jesteśmy gotowi“ — rzekłem. Głowa znikła i bardzo prędko wysunęła się znowu. „Pan kapitan mówi że to bardzo dobrze, i żeby trzymać łódki zdaleka od statku“.

— Minęło pół godziny. Nagle rozległ się straszny hałas, grzechot, brzęk łańcuchów, syk wody i miliony iskiek wleciały w chybotliwą kolumnę dymu, która stała zlekka pochyłona nad

okrętem. Żórawiki kotwiczne spłonęły i dwie rozpalone do czerwoności kotwice poszły na dno, wyszarpując za sobą dwieście sążni rozpalonego do czerwoności łańcucha. Okręt zadrzał, masa płomieni zakołysała się jakby miała się zapaść i szczyt masztu przedniego runął. Poleciał wdół jak ognista strzała, zanurzył się w wodzie, i wyskoczywszy natychmiast na powierzchnię o długość wiosła od łódek, płynął spokojnie, bardzo czarny na jaśniejącem morzu. Okrzyknąłem znów pokład. Po pewnym czasie jeden z ludzi na statku oznajmił mi nadspodziewanie wesołym a zarazem stłumionym głosem, jakby usiłował mówić z zamkniętymi ustami: „Zaraz zjeździemy, panie poruczniku“ — poczem znikł. Przez długi czas nie dochodziło nic do moich uszu prócz łopotu i huku ognia. Słyszać było także poświsty. Łodzie podsłakowały, targając linami, wjeżdżały na siebie żartobliwie, zderzały się bokiem lub, wbrew wszystkim naszym wysiłkom, kołysały się gromadką pod burtą okrętu. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać i wdrapawszy się po linie, dostałem się na rufę.

— Było jasno jak w dzień. Wszedłem na pokład; ściana ognia naprzeciw mnie wydała mi się czemś przerażającym, a gorąco z początku było prawie nie do zniesienia. Na poduszce przywleczonej z kanapy w kajucie spał kapitan Beard ze skulonemi nogami, podłożywszy ramię pod głowę, a światło igrało po nim. Czy wiecie czem reszta ludzi była zajęta? Siedzieli na pokładzie na samej rufie, wkoło otwartej paki, i jedli chleb z serem, popijając porter z butelek.

— Na tle płomieni, wijących się we wściekłych językach nad głowami, zdawali się czuć u siebie jak salamandry i wyglądali na bandę desperackich korsarzy. Ogień iskrzył się w białkach ich oczu, połyskiwał na płatach białej skóry

wyglądającej przez podarte koszule. Każdy miał na sobie ślady jakgdyby bitwy — głowy były obandażowane, ramiona podwiązane, kolana obwinięte w brudne szmaty — i każdy trzymał między nogami butelkę a w garści pajdę sera. Mahon podniósł się. Ze swą piękną, awanturniczą głową, profilem o garbatym nosie, długą białą brodą i odkorkowaną butelką w rękę, podobny był do jakiegoś zuchwałego korsarza z dawnych czasów, weselącego się wśród gwałtów i zniszczenia. „Ostatni posiłek na pokładzie“, wyjaśnił uroczyście. „Nie mieliśmy nic w ustach przez cały dzień, — i po co tu to wszystko zostawiać“. Machnął butelką, wskazując na śpiącego szypra. „Powiedział że nie może nic przełknąć, więc namówiłem go żeby się położył“ — ciągnął dalej; a widząc że się w niego wpatruję, dodał: „Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę, mój młody panie, że ten człowiek nie spał już co się zowie od wielu dni, a w łodziach djabelnie trudno będzie o sen“. „Wkrótce już wcale łodzi nie stanie, jeśli będziecie tu jeszcze dłużej błaznować“ — rzekłem z oburzeniem. Zbliżyłem się do szypra i potrząsnąłem go za ramię. Otworzył w końcu oczy, ale się nie poruszył. „Czas opuścić statek, panie kapitanie“, powiedziałem spokojnie.

— Dźwignął się z trudnością, spojrział na płomienie, na morze iskrzące się wokoło statku a dalej czarne, czarne jak atrament; spojrział na gwiazdy świecące niewyraźnie przez cienką zasłonę dymu — na niebie czarnem, czarnem jak Ereb.

— „Najpierw najmłodszy“ — rzekł.

— Zwyczajny majtek, obtarłszy usta wierzchem dłoni, wstał, przelazł przez burtę i zniknął. Inni poszli jego śladem. Jeden zatrzymał się u burty, wysączył do dna butelkę i rzucił ją w ogień z wielkim rozmachem. „Weź to“! — krzyknął.

— Kapitan ociągał się, niepokieszony; zostawiliśmy go, aby obcował przez chwilę sam na sam z pierwszym swoim dowództwem. Potem wspiąłem się znów na pokład i uprowadziłem go wreszcie. Czas naglił. Żelastwo na rufie było gorące przy dotknięciu.

— Potem lina szalupy została odcięta i wszystkie trzy łódki, związane razem, oddaliły się z prądem od statku. W chwili gdy opuszczaliśmy okręt upłynęło dokładnie szesnaście godzin od wybuchu. Mahon objął komendę nad drugą łodzią, a ja miałem najmniejszą — czternastostopową. Szalupa byłaby pomieściła nas wszystkich, ale szyper powiedział że musimy uratować z okrętowego dobra ile tylko się da — dla akcjonariuszy — i w taki to sposób objąłem swoje pierwsze dowództwo. Miałem z sobą dwóch ludzi, worek sucharów, kilka puszek z mięsem i beczkę wody. Rozkazano mi trzymać się blisko szalupy aby w razie niepogody mogła nas zabrać.

— I wiecie co pomyślałem? Pomyślałem że odłączę się od kompanji możliwie najprędzej. Chciałem zachować swoje pierwsze dowództwo wyłącznie dla siebie. Nie śniło mi się żeglować z całym oddziałem, jeśli mi się nadarzy sposobność do samodzielnej przeprawy. Wyląduję sam. Pobiję inne łodzie. Młodości! Wszystko to była młodość! Niemądra, czarowna, wspaniała młodość.

— Ale nie wyruszyliśmy odrazu. Musieliśmy być obecni przy ostatnich chwilach okrętu. Więc łódki dryfowały tu i tam w ciągu tej nocy, wznosząc się i opadając na falach. Ludzie drzemali, budzili się, wzdychali, jęczeli. Patrzyłem na palący się okręt.

— Między ciemnością nieba i ziemi płonął burzliwie na tarczy purpurowego morza, pocentkowanej grą krwawych

błysków — na wodnej tarczy połyskliwej i ponurej. Wysoki, jasny płomień, olbrzymi i samotny, wznosił się nad oceanem, a z wierzchołka tego płomienia czarny dym płynął wciąż w niebo. Statek palił się gwałtownie, ponury i imponujący, jak pogrzebowy stos zażegnany wśród nocy, otoczony morzem, strzeżony przez gwiazdy. Wspaniała śmierć spłynęła jak łaska, jak dar, jak nagroda na ten stary okręt u kresu jego pracowitych dni. Poddanie się jego znużonego ducha opiece morza i gwiazd było wzruszające, niby widok wspaniałego tryumfu. Maszty zwały się tuż przed świtem, buchnęła zamieć iskier i przez chwilę wypełniła jakgdyby lotnym ogniem noc cierpliwą i czujną, rozległą noc leżącą cicho na morzu. O brzasku statek był już tylko zwęgloną skorupą, która płynęła spokojnie pod chmurą dymu, z rozżarzoną masą węgla w swem wnętrzu.

— Wtedy wyjęliśmy wiosła i łódki ustawiły się szeregiem, okrążając szczątki statku jakby w uroczystym pochodzie, z szalupą na czele. Gdy mijaliśmy rufę, smukły grot ognia strzelił gniewnie w naszą stronę — i nagle okręt poszedł na dno, dziobem naprzód, wśród rozgłośnego syku pary. Niedopalona rufa zanurzyła się na ostatku, lecz farba opadła już z niej, popękała, złuszczyła się; znikły litery, i słowa, i uparta dewiza, która była niejako duszą, i mogła błysnąć ku wschodzącemu słońcu hasłem statku i jego imieniem.

— Skierowaliśmy się na północ. Podniosła się bryza i około dwunastej wszystkie łódzie zeszły się po raz ostatni. Nie miałem w swojej łódce ani masztu ani żagla, ale zrobiłem maszt ze zbywającego wiosła i zawiesiłem zamiast żagla pokrowiec od szalupy z bosakiem jako reją. Takielunek łodzi był bezsprzecznie za ciężki, lecz cieszyła mię pewność że przy pełnym wietrze mogę pobić obie pozostałe łódki. Musiałem na

nie poczekać. Potem przyjrzelśmy się wszyscy mapie kapitana i po wspólnym posiłku z twardego chleba i wody odebraliśmy ostatnie rozkazy. Były bardzo proste: sterować na północ i trzymać się możliwie najbliżej jeden drugiego.

— „Ostrożnie z tym prowizorycznym takielunkiem, Marlow“ — rzekł kapitan, a Mahon — gdy przejeżdżałem dumnie koło jego łodzi — zmarszczył garbaty nos i zawołał:

— „Mój panie młody, zajdziesz z tym swoim okrętem na dno, jeśli nie będziesz uważał“. Był to złośliwy starzec — i oby głębokie morze, gdzie śpi teraz — kołysało go łagodnie, kołysało go tkliwie aż po kres wieków!

— Przed zachodem ulewny szkwał przeszedł nad dwiema tamtymi łodziami, które zostały daleko za rufą, i wtedy straciłem je z oczu na pewien okres czasu. Następnego dnia siedziałem, sterując swoją łupinką — pierwszym swoim dowództwem — a naokoło mnie było tylko niebo i woda. Dostrzegłem popołudniu górne żagle okrętu w oddali, ale nie powiedziałem nic, a moi ludzie go nie zauważyli. Widzicie, bałem się że to może być okręt w drodze do kraju, a nie śniło mi się zawracać od samych wrót Wschodu. Sterowałem w kierunku Jawy — druga błogosławiona nazwa, uważacie — podobnie jak Bangkok. Sterowałem przez wiele dni.

— Nie potrzebuję wam mówić, co to jest poniewieranie się po morzu w otwartej łodzi. Pamiętam dni i noce zupełnej ciszy, kiedyśmy wiosłowali, wiosłowali, a łódka zdawała się stać na miejscu, jakby spętana czarem w obręczy morskiego horyzontu. Pamiętam upał, potopy nawałnic, które pod grozą śmierci zmuszały nas do wylewania bez tchu wody z łódki (lecz napełniały naszą beczkę), i pamiętam w końcu szesnaście godzin, w ciągu których z ustami wyschniętymi na żużel

stawiałem czoło zbałwanionemu morzu na swem pierwszym dowództwie. Nie miałem przedtem pojęcia, jak dzielnym jestem człowiekiem. Pamiętam zapadnięte twarze, zgębnione postawy moich dwóch ludzi, pamiętam swoją młodość i uczucie które już nigdy nie wróci — uczucie że będę trwał wiecznie, że przetrwam morze, ziemię i wszystkich ludzi; złudne uczucie które wabi nas do wesela, do niebezpieczeństw, do miłości, do próżnych wysiłków — do śmierci; tryumfalne poczucie siły — gorączkę życia w garstce prochu, a w sercu żar który z każdym rokiem słabnie, ochładza się, zmniejsza, i gaśnie — i zamiera zawczasie, zawczasie — przed wygaśnięciem życia.

— Tak oto widzę zawsze Wschód. Poznałem później tajne jego zakątki i patrzyłem mu w samą duszę, ale teraz widzę go zawsze z małej łódeczki: zarys wysokich gór, modrych i dalekich o poranku; podobnych do nikłej mgły w południe; stojących o zachodzie jak poszczerbiony mur z purpury. Czuję w ręku wiosło, a w oczach mam palący błękit morza. I widzę zatokę — rozległą zatokę gładką jak szkło i polerowaną jak lód — która połyskuje wśród ciemności. Czerwone światło pali się daleko wśród mroku wybrzeża, noc jest łagodna i ciepła. Wiosłujemy z trudem obolałymi ramionami, i nagle powiew wiatru wyłania się z cichej nocy, powiew słaby, i letni, i nasycony dziwnymi zapachami kwiatów, aromatem wonnego drzewa — pierwszy oddech Wschodu na mojej twarzy. Nigdy tego nie zapomnę. Było to nieuchwytnie — a ujarzmiło jak czar, jak szept — zapowiedź tajemniczej rozkoszy.

— Podczas ostatniego etapu wiosłowaliśmy godzin jedenastie. Dwóch wiosłowało a ten, na którego wypadł odpoczynek, siedział przy rudlu. Dostrzegliśmy czerwone

światło w tej zatoce i sterowaliśmy w jego kierunku, odgadując że oznacza zapewne jakiś mały port nadbrzeżny. Minęliśmy dwa cudzoziemskie okręty o wysokich rufach, śpiące na kotwicy, i zbliżając się do światła — bardzo obecnie przyćmionego — uderzyliśmy dziobem o koniec sterczącego pomostu. Byliśmy ślepi ze zmęczenia. Moi ludzie puścili wiosła i zsunęli się z ławek jak nieżywi. Przymocowałem łódkę do słupa. Jakiś prąd szemrał łagodnie. Pachnący mrok wybrzeża skupił się w wielkie masy; były to zapewne zwarte, olbrzymie kępy roślinności — owe kształty nieme i fantastyczne. U ich podnóża łuk brzegu majaczył jak złudzenie. Ani światła, ani ruchu, ani dźwięku. Oto przede mną Wschód pełen tajemnic, wonny jak kwiat, cichy jak śmierć, mroczny jak grób.

— I siedziałem, znużony nad wszelki wyraz, tryumfujący jak zdobywca, rozbudzony i porwany zachwytem, jakbym miał przed sobą głęboką zagadkę kryjącą w sobie przeznaczenie.

— Miarowy plusk wiosel rozległ się na poziomie wód, wyolbrzymiony przez ciszę wybrzeża do rozgłośnego chlupotu. Skoczyłem na nogi. Zbliżała się łódź, europejska łódź. Wezwałem imienia zmarłego okrętu; okrzyknąłem się: „Hej, na *Judei!* Odpowiedział mi nikły głos.

— Był to kapitan. Wyprzedziłem był łódź dowódcy o trzy godziny, i cieszyłem się że słyszę znowu głos starego, drżący i znużony.

— „To pan, Marlow?”

— „Niech pan uważa na koniec tego pomostu, panie kapitanie“ — odkrzyknąłem.

— Podjechał ostrożnie i przycumował łódź zapomocą głębokowodnej ołowianki, którą uratowaliśmy — dla

akcjonariuszów. Oddałem nieco swojej liny i znaleźliśmy się burta w burzę. Siedział u steru w zgnębionej postawie, mokry od rosy, z rękoma splecionymi na kolanach. Jego ludzie już spali.

— „Okropną miałem przeprawę“ — szepnął. — „Mahon jest za nami — nie tak daleko“.

— Rozmawialiśmy szeptem, cichym szeptem, jakbyśmy się bali obudzić ów kraj. Armaty, gromy, trzęsienia ziemi nie zbudziłyby naszych ludzi.

— Rozglądając się podczas rozmowy, zobaczyłem daleko na morzu jasne światło wędrujące wśród nocy.

— „O, parowiec mija tam zatokę“ — rzekłem.

Ale nie minął zatoki tylko wszedł do niej, a nawet zbliżył się tuż i zapuścił kotwicę.

— „Chciałbym“ — rzekł stary — „żeby się pan dowiedział czy to statek angielski. Możeby mógł nas gdzie zawieźć“.

Kapitan wydał mi się zdenerwowanym i niespokojnym. Zapomocą okładania pięściami i kopania wprawiłem jednego z moich ludzi w stan somnambulizmu, dałem mu wiosło, sam wziąłem drugie, i skierowaliśmy się ku światłom parowca.

— Słysząc tam było gwar głosów, metaliczne, głuche szczęki z maszynowni, kroki na pokładzie. Iluminatory jaśniały, okrągłe jak wytrzeszczone oczy. Krążyły postacie, a wysoko na mostku tkwił niewyraźny zarys człowieka. Ten człowiek usłyszał moje wiosła.

— I wówczas, nim jeszcze zdążyłem otworzyć usta, przemówił do mnie Wschód — ale przemówił w zachodnim języku. Potok słów został wylany w zagadkową, w groźną ciszę; obcych, gniewnych słów, zmieszanych ze słowami i nawet całymi zdaniem w poprawnym języku angielskim, co

było mniej obce lecz jeszcze bardziej zdumiewające. Głos ten kłął i wymyślał gwałtownie; podziurawił gradem przekleństw uroczysty spokój zatoki. Zaczął od nazwania mnie świnią i od tego epitetu przeszedł crescendo do niedających się powtórzyć przymiotników — angielskich. Ów człowiek na górze pienił się głośno w dwóch językach z taką szczerością w swej pasji, iż przekonał mię prawie że popełniłem jakiś grzech przeciw harmonji wszechświata. Z trudem mogłem go dojrzeć, ale przyszło mi na myśl że doprowadzi się do jakiegoś ataku.

Nagle zamilkł. Usłyszałem że prycha i sapie jak delfin. Rzekłem.

— „Co to za parowiec, proszę pana?“

— „Co? Co takiego? Kto pan jesteś?“

— „Jesteśmy załogą rozbitków z angielskiej barki, która się spaliła na morzu. Zajechaliśmy tu dziś wieczór. Jestem drugim oficerem. Kapitan znajduje się w szalupie i chciałby wiedzieć, czyby pan nie mógł nas gdzie zabrać“.

— „Ach, Boże drogi! Doprawdy że... To jest *Celestial* z Singapuru w powrotnej drodze. Porozumiem się z waszym kapitanem jutro rano... i... tego... czy pan mnie słyszał przed chwilą?“

— „Zdaje mi się że cała zatoka pana słyszała“.

— „Myślałem że to łódź z wybrzeża. Niechże pan posłucha: ten przekłety wałkoń, łotr — strażnik portowy — znów się pospał — niech go wszyscy djabli. Światło zgasło i o mało co nie wpakowałem się na koniec tego psiakrew pomostu. Już trzeci raz urządza mi taki kawał. A teraz pytam się pana, czy mógłby kto znieść coś podobnego? To wystarczy żeby człowieka doprowadzić do warjacji. Zrobię na niego raport... Doprowadzę do tego, że pomocnik rezydenta wyrzuci go do

licha! Niech pan patrzy — niema światła. Zgasło, tak czy nie? Biorę pana na świadka, że światło zgasło. Powinno tam być światło, przecież pan wie. Czerwone światło na — —“

— „Tam było światło“ — rzekłem łagodnie.

— „Ale przecież zgasło, człowieku! Co panu przyjdzie z takiego gadania? Sam pan widzi że zgasło — może nie? Gdyby pan musiał prowadzić porządny parowiec wzdłuż tego zatraczonego wybrzeża, potrzebowałby pan także światła. Dam mu takiego kopniaka, że polecą z końca na koniec swojego nędznego pomostu. Zobaczy pan że to zrobię. Ja go — —“

— „Więc mogę powiedzieć mojemu kapitanowi że pan nas zabierze?“ — wtrąciłem.

— „Dobrze, zabiorę was. Dobranoc“ — rzekł szorstko.

— Wróciłem, przywiązałem łódź do pomostu i nareszcie położyłem się spać. Poznałem już ciszę Wschodu. Słyszałem urywki wschodniego języka. Ale gdym znów otworzył oczy, cisza była tak wielka, jakby nikt jej nigdy nie mącił. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie wydało mi się takie dalekie, takie wyniosłe. Otworzyłem oczy, leżąc wciąż bez ruchu.

— I wówczas zobaczyłem ludzi Wschodu — patrzyli na mnie. Pomost — jak długi — wypełniony był ludźmi. Widziałem brunatne, bronzowe, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumu. A wszystkie te istoty patrzyły we mnie bez szeptu, bez westchnienia, bez ruchu. Wpatrywały się w łódki na dole, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Pędy palm odcinały się spokojnie na tle nieba. Wzdłuż brzegu nie drgnęła ani jedna gałązka, a brunatne dachy ukrytych domów widać było z za zielonego listowia, z za wielkich liści, które zwisały

błyszczące i nieruchome, jak liście wykute z ciężkiego metalu. To był zaiste Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspaniały i chmurny, żywy i niezmieniony, pełen niebezpieczeństw i obietnic. A oto byli jego ludzie. Siadłem nagle. Fala ruchu przebiegła po tłumie od końca do końca wzdłuż szeregu głów, zakołysała ciałami, przemknęła po pomoście jak zmarszczka po wodzie, jak powiew wiatru po polu — i wszystko znów zamarło. Widzę to w tej chwili — rozległy łuk zatoki, błyszczący piasek, przepych zieleni bogatej i różnorodnej, morze błękitne jak w marzeniu, tłum uważnych twarzy, blask jaskrawych barw — wodę odbijającą to wszystko, wygięcie brzegu, pomost, statek krajowców o wysokiej rufie, tkwiący wciąż na wodzie, i trzy łódki ze znużonymi ludźmi z zachodu, pogrążonymi we śnie, nieświadomymi tego kraju, i ludu, i gwałtownego blasku słońca. Spali porozkładani wpoprzek ławek, zwinięci w kłębek na belkach dna, w niedbałych pozach śmierci. Głowa starego szypra, rozpartego w rufie szalupy, opadła na piersi: wyglądał jakby nigdy już nie miał się zbudzić. Dalej znów twarz starego Mahona zwrócona była ku niebu, długa biała broda rozpostarła mu się na piersi — zdawało się że został zastrzelony tam u rudla; a jakiś majtek, skuliwszy się w dziobie łodzi, spał, obejmując ramionami głowicę stewy przedniej, z policzkiem przytulonym do burty. Wschód patrzył na nich w głuchym milczeniu.

— Poznałem później czar Wschodu; zobaczyłem tajemnicze brzegi, cichą wodę, kraje brunatnych ludów, gdzie Nemezys czyha w ukryciu, ściga, dopada tak wielu z rasy zwycięskiej, pyszniącej się swą mądrością, swą wiedzą, swą siłą. Ale dla mnie cały Wschód zawarł się w tej wizji mojej młodości. Mieści się cały w owej chwili gdy otworzyłem nań młode oczy.

Dotarłem do niego po ciężkiej walce z morzem — i byłem młody — i zobaczyłem że patrzy na mnie. I oto wszystko co z tego pozostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, porywającej złudy — młodości!... Błysk słońca na obcym wybrzeżu, trochę czasu aby wspomnieć, aby westchnąć i — żegnajcie! — Noc — Żegnajcie...!

Wypił.

— Ach! Te dawne, dobre czasy — dawne, dobre czasy. Młodość i morze. Porywający czar złudy — i morze! Dobre, silne morze — słone, gorzkie morze, które szepcze do ciebie, i ryczy na ciebie, i wydziera ci ostatni dech.


Wypił znowu.

— I jakże rozstrzygnąć — czy tkwiło to w morzu, jak mi się zdaje, w samym morzu — czy też w samej młodości? Któż to wie? Ale wy wszyscy tutaj — którzyście mieli coś z życia: pieniądze, miłość — to co daje ląd — powiedzcie mi: czyż to nie najlepsze nasze czasy, gdyśmy — młodzi — byli na morzu; młodzi i nic nie mający, na morzu które nie daje nic — prócz ciężkich razów — tylko czasem sposobność odczucia swej siły — jedynie to — czego wam wszystkim żal?

I skinęliśmy wszyscy głowami: człowiek od finansów, człowiek od rachunków, człowiek od prawa — skinęliśmy potakująco głowami nad gładkim stołem, który jak cicha tafla brunatnej wody odbijał nasze twarze, pocięte, pomarszczone; nasze twarze znaczone przez znój, przez zawody, przez powodzenie, przez miłość; nasze zmęczone oczy wyglądające wciąż, wyglądające zawsze, wyglądające niespokojnie czegoś od życia, które już nas minęło, oczekujących — przeszło niespostrzeżenie w westchnieniu, w błysku — razem z młodością, i siłą, i romantyzmem złudzeń.

Przypisy

1. [↑](#) Mowa tu o przylądku Dobrej Nadziei i przylądku Horn, w pobliżu których żegluga jest szczególnie trudna.

 Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Joseph Conrad](#) i tłumacza: [Aniela Zagórska](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Młodość](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Bonvol
- Salicyna
- Grobur
- Ankry
- Wieralee
- Anagram16

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)